

Lipoński, Wojciech

Dwie historie Europy : czyli ugór podwójnie przeorany

Dzieje Najnowsze 31/1, 3-17

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Wojciech Lipoński

Poznań

Dwie historie Europy — czyli ugór podwójnie przeorany*

W krótkim czasie ukazały się w Polsce aż dwie syntezy dziejów europejskich: *Historia Europy* pod red. Antoniego Mączaka i *Europa* Normana Daviesa (opublikowana wcześniej po angielsku pt. *Europe. A History*, 1996). Fakt ich pojawienia się jest sam w sobie wydarzeniem niezwykłym: oto dostajemy do rąk nie tylko syntetyczne ujęcie dziejów europejskich, ale i możliwość wyboru między dwoma dziełami porównywalnej skali jednocześnie. Takiego wyboru nie mieliśmy nigdy dotąd, choć pośrednio całościowe ujęcie zagadnienia wyłaniało się w przeszłości z wielotomowej PWN-owskiej *Historii powszechnej*, obecne było w specjalistycznych „branżach historycznych”, jak *Dzieje literatur europejskich* pod red. W. Floryana. Nie istniała natomiast zwarta, całościowa synteza historii Europy, choć od dłuższego czasu dawał się odczuć wzrost zapotrzebowania na nią. Wynikało to z ogólnego zainteresowania, oczekiwania na wejście do struktur jednoczącej się Europy, powstawania coraz to nowych kierunków europeistycznych na uczelniach wyższych. Nic zatem dziwnego, że tuż po swym ukazaniu się oba dzieła znalazły się na liście bestsellerów tygodnika „Polityka”. Dzieło Daviesa jednak utrzymywało się na niej dłużej i ostatecznie w skali całego 1998 r. zajęło *ex aequo* 1-2 miejsce (pospołu z *Epilogiem burzy* Zbigniewa Herberta).

Obie syntezy mają niewątpliwe zalety, obie cechują się rozlicznymi wadami. W żadnej nie znajdziemy też nazwisk recenzentów wydawniczych. Zdaje się, że tak Davies, jak i Autorzy zespołu A. Mączaka nie skorzystali z możliwości udoskonalenia swych tekstów. Spróbujmy brak ten *post factum* uzupełnić.

Europa Daviesa zrywa ze stereotypem historiografii zachodniej, gdzie poczynania kilku mocarstw brano za dzieje całego kontynentu. Również wcześniejsze książki Daviesa doceniały rolę narodów, którym koło dziejowej fortuny mniej sprzyjało. W *Bożym Igrzysku* wyjątkowo obiektywnie ukazał on dzieje Polski, na Zachodzie tak pomniejszane, często ignorowane. Podejście to Davies rozszerzył teraz na inne kraje: rodzinną Walię, Szkocję, kraje bałkańskie, pirenejskie... Uzasadził to przekonująco we wstępie do *Europy*, a także w serii wypowiedzi publicznych. Wywiad udzielony „Polityce” dosadnie ilustruje jego sprzeciw wobec manieri, w której „liczy się tylko Zachód (...) mniejsze kraje, mniejsze państwa, tzw. małe narody nie

* N. Davies, *Europa*, przeł. z ang. E. Tabakowska, Kraków 1998, s. 1406; A. Mączak red., *Historia Europy*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1997, s. 854 (autorzy: Stanisław Grzybowski, Krystyna Kersten, Jan Kieniewicz, Antoni Mączak, Jerzy Serczyk, Władysław Serczyk, Jerzy Tomaszewski, Ewa Wipszycka-Bravo).

składają się na opis przeszłości. Na pierwszym miejscu są mocarstwa, inni uczestnicy pokazani są tylko wtedy, gdy sprawiają mocarstwu kłopoty" (1998, nr 36).

Historia Europy pod red. A. Mączaka, niestety, hołduje krytykowanym przez Daviesa wzorcom zachodnim. Najbardziej razi tu swoista „perspektywa mocarstwowa”, koncentracja uwagi na dziejach politycznych potęg, gdzie słabsi i pokonani bądź tworzą tło, bądź w ogóle ich nie ma! Tylko Polska nie jest tym dotknięta i problematyka jej dawnej chwały czy blisko dwuwiekowego borykania się z obcą przemocą jest obszernie, w kilku miejscach nawet za obszernie, oddana. Tworzy to wrażenie nieobiektywnego traktowania tych, którzy dotąd pomijani, jak my zasługują na minimum historiograficznej sprawiedliwości. W Europie było bowiem sporo krajów, niegdyś znaczących, które ucierpiały od najmożniejszych tego świata, jak i ich historiografów, w stopniu równym, a niekiedy większym niż Polska.

Należą do nich m.in. kraje celtyckie Wysp Brytyjskich. W polskiej świadomości kulturowej, funkcjonują w wyjątkowo zafałszowany sposób. Zbyt często nasza historiografia opierała się na angielskiej, zainteresowanej w pomniejszaniu roli swych podbitych sąsiadów. Nawet w okresie PRL, a więc ideologicznie usankcjonowanej troski o „ludy pokrzywdzone przez zachodni imperializm”, głównym źródłem naszej wiedzy o Wielkiej Brytanii była *Historia Anglii* George Macaulay'a Trevelyan, świetnego historyka i stylisty, ale piszącego w duchu jednoznacznie imperialnym. Jak ta książka przeszła wówczas przez igielne ucho urzędu na Mysiej, trudno dociec. Wcielenie Szkocji do państwa brytyjskiego Trevelyan uzasadniał np. tym, iż pod boki skutecznie już ucywilizowanego Edynburga „nie sposób było tolerować jakiegoś Afganistanu”. I nas niegdyś cywilizowano siłą i nas przyrównywano nie tyle do Afganistanu, co do Irokezów Europy... „Duch imperialny” panuje zresztą w historiografii brytyjskiej nadal, choć zdarzają się już zapowiedzi innego podejścia do narodów celtyckich, jak dzieło Hugh Kearneya (*The British Isles. A History of Four Nations*, wyd. 3, 1995). Wciąż jednak dominują opracowania w rodzaju *Oxford History of Britain* (wyd. 2, 1992). Tu na 640 s. ok. 580 poświęconych jest Anglii, na ok. 300 ilustracji Anglii dotyczy 237, Szkocji 18, Walii 8. Oby nie trafiło na rynek polski. Podobnie krzywdzące proporcje w traktowaniu krajów celtyckich pojawiają się i w *Historii Europy* pod red. A. Mączaka. W rozdziałach traktujących o Wyspach Brytyjskich dominuje perspektywa anglosaska, kraje celtyckie zaś pojawiają się w okazjonalnych wzmiankach, wyłącznie w rytm wydarzeń angielskich. Np. gdy dochodzi do powstań w Irlandii, Autorzy wyraźnie przyjmują perspektywę Londynu. Irlandzkie ruchy niepodległościowe oceniane są jako „groźne dla Anglii” (s. 497), choć nie były przecież zagrożeniem dla Irlandczyków, lecz odwrotnie, ich nadzieją. Nie pada jednak ani słowo nadzieja, ani żadne inne wskazujące, że Irlandia jest równoprawnym punktem odniesienia. Pytanie brzmi: dlaczego akurat agresor skupia całą uwagę, dlaczego nie ukazuje się co najmniej równorzędnie racji przegrywających? Znamienne, że gdy w tej samej *Historii Europy* dochodzi do Powstania Kościuszkowskiego, nagle środkiem ciężkości staje się nie Petersburg, lecz polskie centra niepodległościowe. Opis działań powstańczych zajmuje Autorom pięć stron (486-491), podczas gdy np. równie dramatyczny upadek Walii został, pospołu ze Szkocją, skwitowany... jednym zdaniem: „Efektem był ostateczny podbój Walii (1276-1283) i krótkotrwały podbój Szkocji”. Następuje potem kilka słów (wciąż mieszczących się w tym samym, pojedynczym zdaniu) o przebiegu powstania szkockiego. Choć poznajemy z imienia monarchę zwycięskiej Anglii, Edwarda I, nie wymienia się ostatniego władcy Walii Llywellyna ap Gruffudda (to tak, jakby pisać o ostatnim rozbiórce Polski bez Stanisława Augusta). Pominięte są później liczne powstania walijskie. Nie pojawia się nawet nazwisko Owena Glendovera, przywódcy największego zrywu, przywracającego Walii niepodległość na ok. 15 lat. Przy

powstaniach irlandzkich, a w innych miejscach także przy walce o niepodległość państw bałkańskich i iberyjskich, nie ma zresztą rutynowo żadnych nazwisk, założeń programowych ruchu niepodległościowego, podstawowych faktów związanych z przebiegiem powstania, choć nie pomija się napastników, ich liderów i ich imperialnych planów. Wobec pokonanych Autorzy poprzestają na suchej informacji o zaistnieniu klęski. Nie zapominają o polskich próbach podniesienia narodu z upadku tuż przed rozbiorami, Sejmie Czteroletnim, Komisji Edukacji Narodowej, ale nawet jednym słowem nie zająkną się o podobnych usiłowaniach w Walii przed upadkiem Glendovera, o zebraniu tamtejszego parlamentu, próbach pozyskania papieża dla idei uniwersytetów walijskich. Nie do wyobrażenia jest, by w *Historii Europy* pominięto Kościuszkę jako przywódcę walki o niepodległość Polski, ale równocześnie nie ma tam Williama Wallace'a i Roberta de Bruce, bohaterów narodowych Szkocji w walce przeciw Anglikom. Rozumiem, że historia Europy pisana przez Autorów polskich i dla czytelnika polskiego powinna uwzględniać poszerzone spektrum dziejów własnego kraju. Ale na miłość boską! Nie kosztem tak gruntownego ignorowania innych narodów, tak samo jak my oczekujących historiograficznego docenienia poza swymi granicami. Takie krzywdzące podejście powtarza się w dziele pod red. A. Mączaka przy narodach bałkańskich i tamtejszych tradycjach walki z zęborem tureckim. Najsprawiedliwiej została potraktowana Serbia. Ale już bohaterskiej walce Albańczyków z nawałą turecką i Skanderbegowi zostało poświęcone jedno zdanie (s. 221), na przestrzeni 8 stron opisujących podbój Bałkanów przez Imperium Otomańskie. Znow nieznosne proporcje: kilka stron o najeźdźcy, oszczędne wzmianki o pokonanych. Baskonia pojawia się w *Historii Europy* przy omawianiu osadnictwa w dorzeczu Duero i Ebro we wczesnym Średniowieczu. Później, choć wspomniana jest walka ludu baskijskiego o lokalne prawa *fueros*, to nie ma informacji o ich likwidacji w 1832 r., co jest ważne i dla współczesności, bo zapoczątkowało nieustające do dziś wrzenie tego regionu. Nic o Guernice, tak krwawo potraktowanej przez generała Franco i jego hitlerowskich sojuszników. Przez moment miałem nadzieję, że Guernika, jeden z najtragiczniejszych symboli naszych czasów, pojawi się w rozdziale poświęconym historii sztuki, jako obraz Picassa, było nie było jedno z najbardziej znanych dzieł malarstwa XX wieku. Wszystko, co tam jednak znajdujemy, to informacja, że Picasso ukazywał „zwarowany świat w krzywym zwierciadle deformacji” (s. 639). Tak nierówne traktowanie wydarzeń porównywalnej skali, polskich i dotyczących innych walczących o swój byt narodów, stwarza wrażenie braku obiektywizmu, wręcz historiograficznego polocentryzmu.

Zbliżone proporcje dotyczą spraw kultury. Kultura polska doby zaborowej, w zastępstwie nie istniejących struktur państwa, została obdarzona funkcją zachowania tożsamości narodowej. Miała w tej roli swe odpowiedniki, m.in. wśród wspomnianych już narodów celtyckich. To w Walii, chyba pierwszym kraju europejskim, zaistniała literatura „krzepienia serc”, oparta na wątku Artura, obrońcy Brytanii przez najazdem anglosaskim. Żadne polskie zjawisko literackie nie miało podobnego zasięgu. Literatura arturiańska ukształtowała znacząco nie tylko literatury Wysp Brytyjskich, ale także Francji i Niemiec, gdzie naśladowali ją Chrétien de Trois, Hartman von Aue czy Wolfram von Eschebbach. Tak Artur, jak i związana z nim literatura pojawiają się epizodycznie w *Historii Europy*, ale... rozdzielnie, bez wzajemnego związku. Tym samym świadomie, czy nie, Autorzy przyjmują wobec literatury arturiańskiej „imperialny” anglosaski kanon interpretacyjny, ustalony przez George'a Sampsona, a zakładający, że literatura ta była apolityczna. Imperialni historycy literatury angielskiej nie mogli ścierpieć, iż pobici Brytoni pozostawili po sobie wielką, dokumentującą ich tragedię literaturę, o zasięgu paneuropejskim, nieporównanie szerszym niż ówczesna literatura angielska. Podję-

to więc próbę jej neutralizacji, interpretacyjnego spłaszczenia jej historycznie niepodległościowej wymowy. Dlaczego jednak uczeni polscy, zapewne nieświadomie, chadzają na tym imperialnym pasku — nie umiem zrozumieć.

Ukazanie procesu zachowywania tradycji kulturowych z szerszym uwzględnieniem europejskiego tła, doświadczenia historycznego Walii, Szkocji, Irlandii, Baskonii, Grecji, czy Rumunii pozwoliłoby również na lepsze zrozumienie analogicznego procesu w Polsce. Podejmując takie porównania, stracilibyśmy co prawda poczucie swej polskiej wyjątkowości, którą tak pieczołowicie, ale i egoistycznie celebруем. Czas najwyższy uświadomić sobie: nie byliśmy ani nie jesteśmy żadnym wyjątkowym pod tym względem narodem. Nim Mickiewicz i Sienkiewicz podjęli próbę zachowania polskości w swych arcydziełach, podobne funkcje pełniły literatury innych narodów o historii podobnej do naszej. Na przykład w Rumunii czynili to poeci „szkoły siedmiogrodzkiej”, S. Micu, G. Nincai, I. Budai-Deleanu, przypominając łacińskie tradycje swego języka i kultury, zagrożone poturczeniem, choć żadnego z nich, podobnie jak w okresie późniejszym Mihaila Eminescu, narodowego poetę tego kraju, Autorzy *Historii Europy* nawet nie wspominają. Za to o Mickiewiczu jest w 7 miejscach... Nic nie ujmując naszemu wieszczowi, nie takie proporcje winny charakteryzować dzieło o Europie, chyba że ma to być widzenie spraw polskich poszerzone tylko o kontekst europejski.

Książka Daviesa jest w podobnej materii nieporównanie sprawiedliwsza. Eminescu jest wprawdzie pominięty, ale Kościuszkę traktuje na tych samych prawach, co Glendovera. Skanderbeg przytoczony jest w dwu miejscach. Guernika pojawia się raz jako wydarzenie hiszpańskiej Wojny Domowej, raz jako element porównania przy napaści Niemców na Polskę w 1939 r. Nie pominięty został Cyd (ElCid) kastylijski bohater z okresu walk przeciw Maurom, a zarazem postać literatury, od kastylijskiego eposu *El canto delMio Cid*, aż po wielki dramat Pierre Corneille'a. Polscy Autorzy wspominają Cyda jako bohatera literatury rycerskiej, ale jako odrębnej postaci historycznej nie ma go w indeksie. Sam Corneille, choć zdawkowo wspomniany, nie doczekał się jednak zilustrowania swej twórczości choćby jednym tytułem z ponad trzydziestu dzieł dramatycznych, tak znaczących w historii europejskiej kultury.

Niedocenywanie w *Historii Europy* losu narodów niegdyś wielkich, a potem zdegradowanych szczególnie irytujące okazuje się w przypadku Grecji. Bohaterstwo Greków zderzone z barbarzyństwem Turków poruszało Europę nieporównanie silniej niż Maciejowice i rzeź Pragi. W każdym razie Lord Byron Grecję, a nie Polskę wybrał na demonstrację swych wolnościowych przekonań. Tymczasem w dziele pod red. A. Mączaka grecki zryw niepodległościowy, przynajmniej w głównym wywodzie, został sprowadzony do akcji „greckich spiskowców”! Oszczędzono im nawet miana powstańców. Słowo „spiskowcy” można ew. odnieść do fazy przygotowawczej powstania, dopóki nie nabierze rozpędu. Mianem tym można określić np. podchorążych spod Belwederu, ale już nie żołnierzy walczących pod Stoczkim czy Wawrem. Sprowadzanie zatem powstania greckiego do poziomu „spiskowania” świadczy o rozluźnieniu kontroli słowa. Jak można się spodziewać, nie pada też żadna nazwa greckich związków powstańczych, jak Hetairia Philike (1814), nazwisko choćby jednego z bohaterów czy przywódców helleńskiego zrywu, jak Rigas Pheraios czy Adamantios Korais. Pomijanie tych historycznych postaci przypomina pisanie o zjednoczeniu Włoch bez Garibaldiiego albo o odrodzeniu Polski bez Piłsudskiego. Prawda, w innym miejscu (s. 621) jest kilka pochlebnych zdań o wpływie zrywu greckiego na romantyzm, ale nie z powodu Grecji, lecz pośrednio, przy omawianiu twórczości Byrona. Lecz i tu Autorzy nie trują się wymieniem choćby jednego greckiego nazwiska. Wygląda na to, że to Byron był jedynym bohaterem greckiego powstania...

Nie ma nic nawet o twórczym w tym czasie Dionizosie Solomosi, ojcu niepodległościowej literatury greckiej i autorze słów greckiego hymnu narodowego.

Na tym tle nie zaskakuje, że Grecja uzyskała niepodległość dzięki „uznaniu” przez mocarstwa ówczesnej Europy. To mocarstwa zachodnie wywierają presję na Turcję, „uznając w 1829 niepodległość Grecji” (s. 704), to one decydują, że: „Grecja otrzymała pełną niepodległość” (s. 550). Informację o Grecji „otrzymującej niepodległość” można by od biedy zrozumieć u historyka brytyjskiego czy francuskiego, wierzących w polityczną omnipotencję swych krajów. Polskiemu historykowi w ten sposób dziejów Europy pisać nie wolno! Czujemy się słusznie dotknięci, gdy obcy historycy piszą, iż Polska odzyskała w 1918 r. wolność z uprzejmości możnych tego świata, wszystkie zaś nasze wolnościowe aspiracje i zrywy nie miały większego znaczenia. Dlaczego zatem nie potrafimy zrozumieć uczulenia na podobne kwestie czy to Greków, czy to innych narodów? Co prawda, istotność naszego wysiłku niepodległościowego podważona została ostatnio i w Polsce (J. A. Majcherek, *Odwrotna strona mitologii*, „Rzeczpospolita”, 5-6 XII 1998). Nie tu miejsce, by podejmować dyskusję z tak absurdalnymi poglądami: poprzestańmy tylko na konstatacji: bez walki i własnej aktywności politycznej, mielibyśmy po 1918 r. terytorium równe może połowie Księstwa Warszawskiego, bez Wielkopolski i Śląska, a nade wszystko bez dostępu do morza (bo wydebił go Paderewski od Wilsona, niechętnego wcześniej Polakom). W 1920 r. uznanie mocarstw też niewiele by dało bez udziału polskiego żołnierza.

Autorzy *Historii Europy* poglądów podobnych do Majcherka nie podzielają, ale tylko wobec Polski. Miary podmiotowości zastosowanej wobec własnego kraju zbyt często nie odnoszą wobec innych. Miejmy nadzieję, że ulegnie to zmianie w kolejnych wydaniach książki. Nie wymaga to zresztą wielkich przeróbek: wystarczą niewielkie uzupełnienia faktograficzne i wyakcentowanie odpowiednich kwestii w kilkunastu miejscach.

Lecz i Davies nie jest wobec Grecji bez grzechu. Choć pisze o niej sprawiedliwiej niż Autorzy *Historii Europy*, to pospołu z nimi ignoruje... nowożytną grecką historiografię. Tak w *Europie*, jak i w *Historii Europy*, ilekroć mowa o Helladzie, Autorzy obywają się bez opracowań i opinii greckich z wyjątkiem źródeł starożytnych. Hołduje zresztą temu skrzywieniu lwia część międzynarodowego środowiska historycznego. N. G. L. Hammond w swych 860-stronicowych *Dziejach Grecji* nie zdobywa się na zacytowanie choćby jednego współczesnego badacza greckiego! W duchu ignorowania opinii Greków o ich w końcu kraju, Grecji, kształtuje się młode pokolenia historyków. W naszym *Vademecum historyka starożytnej Grecji i Rzymu* próżno szukać pozycji i wskazówek bibliograficznych odnoszących się do nowożytnej historiografii pisanej przez Greków. Dominują opracowania polskie, niemieckie, w mniejszym stopniu angielskie i francuskie. Autorzy *Vademecum* (J. Kolendo, E. Wipszycka, J. Zabłocka) jakby cichaczem założyli, że po źródła i opracowania w tak egzotycznym języku, jak nowogrecki, student polski sięgać nie będzie. Skąd ta pewność? Iluż to badaczy uczyło się rzadkiego języka, by lepiej poznać kulturę czy historię danego kraju? W Międzynarodowej Akademii Olimpijskiej mieszczącej się w antycznej Olimpii, głównym centrum historii i archeologii Grecji, gdzie wykłady prowadzone są symultanicznie po angielsku, francusku i nowogrecku, niektórzy filologowie i historycy niemieccy (Manfred Laemmer, Wolfgang Decker) zastąpili z zajęć prowadzonych poprawną nowogrecką. Są w końcu dzieła historiografii nowogreckiej tłumaczone na angielski i nic nie stoi na przeszkodzie, by z nich korzystać. Oczywiście, by do nich dotrzeć, trzeba trochę trudu, bo nie stoją na półkach pierwszej z brzegu księgarni na Nowym Świecie.

Wyobraźmy sobie przez chwilę, iż obcy autor, Hiszpan czy Norweg, piszący historię Polski, zignorował kompletnie Lelewela, krakowską szkołę historyczną, ustalenia genealogiczne Dworzaczka, prace Kutrzeby, Labudy, Batowskiego, kluczowe opracowania okresu II wojny światowej Łuczaka, Ryszki czy Madajczyka itd. Tak zresztą podchodzili do dziejów Polski niektórzy historycy rosyjscy czy niemieccy, zwłaszcza przed 1939 r. Porozumiewawczo mrugali okiem, dając do zrozumienia światu: „ten niedojrzały politycznie naród własnych dziejów porządnie opisać przecież nie potrafi”. Podobną wzgardę okazuje się do dziś historykom narodu, który za sprawą Herodota i jego *Histories apodeixis* dał światu nazwę „historia”.

Nawet historycy polscy, choć do dziś nie cytowani na Zachodzie zbyt obficie, nie są pomijani w takim stopniu, jak nowożytni historycy greccy. Są przecież badacze jak R. R. Palmer, wręcz wzorcowo sięgający po polskie opracowania mimo bariery językowej. W *The Age of Revolution. A Political History of Europe and America 1760-1800* (1964) Palmer w bliskim 40-stronicowym rozdziale, poświęconym Europie Wschodniej, w tym w dużej mierze Polsce, cytuje obficie B. Leśnodorskiego, sięga nawet po dziewiętnastowieczne opracowania L. Chodźki, przytacza pamiętniki K. Ogińskiego. Nie znając języka, znalazł drogę do osób, które dostarczyły mu odpowiednich tłumaczeń. Podobnie postąpił amerykański autor James Michener, gdy pisał swą transhistoryczną, obejmującą 6 stuleci powieść *Polska (Poland)*, (1981). Po prostu zamówił u najwybitniejszych historyków polskich eseje na potrzebne mu tematy, osiągając dzięki temu minimum kompetencji w zakresie językowo mu obcym. Przykro to stwierdzić, ale żaden z historyków polskich nie zdobył się dotąd na podobny wysiłek wobec Grecji. Jest to zresztą uświęcone długą i — nie bawmy się w grzeczności — intelektualnie wstydliwą tradycją, obejmującą nie tylko historiografię ogólną, ale i jej specjalistyczne odmiany: historię kultury, literatury, sztuki. Nie znajdziemy ani jednego nowogreckiego opracowania w bibliografiach czy przypisach najznamienszych dzieł polskiej humanistyki, poczynając od *Historii literatury greckiej* T. Sinki czy *Historii kultury starożytnej Grecji i Rzymu* K. Kumarnieckiego. Brak w polskich bibliografiach takich nazwisk, jak dziewiętnastowieczny jeszcze estetyk i filozof grecki Georgios Zalokostas, dwudziestowieczni już archeolodzy i historycy Kleantes Paleologos, Nikolaos Yalouris, Thomas Yannakis, wybitny historyk starożytnego sportu Ioannis Mouratidis itd. Przykład wyrwykowy spośród wielu polskich opracowań literatury klasycznej: w książce autorstwa zbiorowego *Epigram grecki i łaciński w kulturze Europy* (red. K. Bartol i J. Danielewicz, 1997) ani jeden z 21 polskich badaczy literatury klasycznej nie uznał za stosowne powołać się na choćby jednego, symbolicznego a współczesnego literaturoznawcę greckiego... Równocześnie bibliografie poszczególnych rozdziałów aż roją się od przytaczanych tam autorów niemieckich, francuskich czy anglosaskich. Wygląda na to, że wszyscy oni znają tradycje greckiej kultury lepiej niż sami Grecy.

Przy okazji: w serii Ossolineum poświęconej historiom powszechnym poszczególnych narodów mamy od lat dzieje wszystkich głównych krajów europejskich z wyjątkiem... nowożytnej Grecji.

Dzieło Daviesa niewątpliwie góruje nad polskim kompletniejszym doбором faktów. Nie wytykajmy tu pominięć takich czy innych kwestii szczegółowych: jakkolwiek dobór faktów, przy przeogromnej skali dziejów Europy będzie zawsze dyskusyjny i zawsze znajdzie się jakaś luka. Ale niektóre z przeoczeń być może warto uzupełnić. Należy do nich np. hekatomba greckiej Kalavryty i czeskich Lidic. Nie ma ich ani u Daviesa, ani u Mączaka. Miejscowości te pospołu z Guerniką, Oświęcimiem, Katyniem czy Kuropatami tworzą szczególny, wręcz „kanoniczny” symbol dwudziestowiecznego ludobójstwa.

Zmieńmy epokę. O inwazji anglosaskiej w obrębie Brytanii czytamy w *Historii Europy* na s. 67: *Niewiele jednak wiemy o szczegółach podboju. Znamy imiona wodzów, Hengista i Horsy, datę 449 jako początek systematycznej ekspansji, i to niemal wszystko.* „Niewiele wiemy”? Jest prawdą, że inwazja anglosaska zawiera sporo niejasności, ale tak to trzeba napisać: „istnieją niejasności”. Poza imionami przywódców i datą początkową znamy jednak tysiące faktów, zawartych w przytaczanych zresztą u Mączaka: *De excidio Britanniae* Gildasa, *Historia ecclesiastica gentis Anglorum* Bedy, *Historia Britonum* Neniusza, *Kroniki Anglosaskiej*... Dziwi trochę, jak można narzekać na brak informacji historycznej, a jednocześnie przytaczać bogactwo źródeł? Dochodzi zresztą archeologia, która jeśli chodzi o inwazję anglosaską, dostarcza jednej z bogatszych ewidencji w dziejach wczesnośredniowiecznej Europy. Wystarczy obejrzeć wykopaliska z Sutton Hoo, by jęknąć z zazdrości, że nie dysponujemy czymś porównywalnym z epoki, powiedzmy, wczesnopiastowskiej. Najmniej przejrzysty był do niedawna proces tworzenia się jeszcze w okresie migracyjnym małych plemiennych państweczek tzw. Okresu Migracyjnego. Ale to o nim pisał dokładnie dekadę temu Steven Bassett: „obraz nie jest już tak czarny, jak niektórzy go odmalowują. To, że historycy, archeolodzy i onomastycy zaczęli się do siebie odzywać, coraz bardziej koordynować swe studia i zestawiać ich rezultaty, sprawia że Okres Migracyjny (*Migration Period*) nie jest już (...) nieprzenikalnym Stuleciem Ciemności... Nie ma już więcej żadnego usprawiedliwienia dla naszej gadaniny, że anglosaskie królestwa wyłoniły się z jakiegoś początkowego, barbarzyńskiego chaosu” (*The Origins of Anglo-Saxon Kingdoms*, 1989). Ten sąd, przewartościowujący gruntownie pogląd na początki państwowości angielskiej powinien być uwzględniony. Tymczasem wiedza Autorów *Historii Europy* o Wielkiej Brytanii nie tylko w tym miejscu jest dość przestarzała i odpowiada w przybliżonym stopniu mocno zdezaktualizowanej już *Historii Anglii* Henryka Zinsa, mimo to co kilka lat uporczywie wznawianej przez Ossolineum (3 wyd. w 1995).

Słabością obu dzieł jest niedostatecznie pogłębiony obraz kultury europejskiej. Wymaga to studiów interdyscyplinarnych, znajomości metodologii nauk innych niż własna. Rzecz objawia się np. w wypadkach problematyki lingwistycznej. Brak w obu dziełach jakiegoś większego fragmentu o roli języków w europejskiej komunikacji kulturowej poszczególnych epok, gdy szczyt swego znaczenia i wpływów przeżywała greka, łacina, język włoski, potem francuski, wreszcie wszechobecna dziś angielszczyzna. Nie wystarczą rozrzucone, pozbawione wzajemnej spójności informacje, jak np. o wpływie Erazma z Rotterdamu na język europejskich intelektualistów, zilustrowana wyborem jego sławnych powiedzeń (Davies, s. 518). Autorzy *Historii Europy* w podobnym miejscu ograniczają się do wspomnienia o filologicznych zasługach Erazma, nie wyjaśniając, o co chodzi. Nie jest wspomniany nawet tzw. kanon Erazma, który na trwałe określił pryncypia studiów nad językami klasycznymi, a pośrednio wpłynął na kształt humanistyki europejskiej w ogóle. W takich momentach widać, jak Autorzy wchodzący na teren „nie swoich” dyscyplin mają wyraźne trudności w hierarchizowaniu zjawisk, wyławianiu istoty rzeczy. Kompetentnej analizie nie zastąpią okazjonalne, wyrażane niekiedy bez związku z kontekstem informacje typu: „język angielski miał za jakiś czas otrzymać od pani Margaret Sanger wyrażenie *kontrola urodzin*” (Davies, s. 803). Język jest zbyt poważną materią historyczną, by poprzestawać na związanych z jego funkcjonowaniem ciekawostkach.

Podobne zastrzeżenia budzi materia literacka. O niedocenieniu literatury arturiańskiej już było. Ale przykładów z samego tylko typu „krzepienia serc” jest więcej. W okresie Romantyzmu twórcą poetyki powieści historycznej, jako gatunku odwołującego się do przeszłości, by ocalić tożsamość kulturową pozbawionego niepodległości narodu, był Walter Scott. Autorzy

Historii Europy odnotowują go co prawda aż trzykrotnie: jako pisarza zafascynowanego Średniowieczem (s. 50), twórcę, który zrewolucjonizował powieść historyczną jako gatunek literacki, „ukazując tkwiące w nim możliwości dramatycznego starcia ludzkiej psychiki z machiną dziejów” (621), wreszcie jako pisarza „opatrującego swe powieści, mocno osadzone w realiach epoki, sążnistymi rozprawami w formie przypisów”(622). Nie ma tam jednak nic o głównym zamysle Scotta: ratowaniu przez literaturę zagrożonej tradycji. Tymczasem zdaniem Juliana Krzyżanowskiego takie „krzepienie serc” było najważniejszym elementem recepcji dzieł Scotta w krajach Europy pozbawionych wolności, w tym Polski. Krzyżanowski popełnił na ten temat aż kilka rozpraw, ukazując na kanwie powieści Scotta liczne analogie losów Szkocji, Litwy i Polski. Ponadto Autorzy *Historii Europy*, choć prawidłowo oceniają znaczenie literatury Scotta w pozostałych jej parametrach, nie umieją jednak wykazać, jak przejawiało się znaczenie tego pisarza, np. przez suche choćby wymienienie, na kogo właściwie oddziaływał. Konstanty Wojciechowski obszerną książkę poświęcił wpływom wątków scottowskich na *Pana Tadeusza*. Niejedną rozprawę napisano o wpływie Scotta na Sienkiewicza (m.in. J. Krzyżanowski), podobnie jak na Wiktora Hugo (m.in. R. B. Grant), czy Aleksandra Dumasa (m.in. H. Peyre). Tymczasem, choć w *Historii Europy* jest o Scottcie w paru miejscach, podobnie jak w innych o Mickiewiczu, Hugo i o Dumasi, to łączyć tych zjawisk Autorzy nie spieszą. Mamy uwierzyć w ogólniejszy sąd historyka, który nie przywołuje podstawowej nawet materii, na podstawie której swój abrytalny sąd wyraża.

Autorzy obu dzieł okazują się szczególnie bezradni, gdy mają wytłumaczyć europejski zasięg i wpływy kultury... własnego kraju. Przysłowiowy szewc bez butów... Przykładów można przytoczyć wiele, poprzestańmy na kilku. Oto polskie wysiłki w utrzymaniu niepodległości, a potem powstania znajdowały wyjątkowo liczne odbicie w literaturze Zachodu. Listę tę zapoczątkowuje w 1792 r. prolog głośniejszej wówczas sztuki Thomasa Holcrofta *The Road to Ruin* („Polak i Francuz niech będą nam braćmi (...) każdy, nawet biedny Murzyn ma prawo być wolny”). Nasze powstania narodowe wywołały na Zachodzie falę modnej literatury. We Francji, Niemczech, Anglii, a nawet odległych Stanach Zjednoczonych pojawiły się, i to wcale licznie, dramaty o tematyce polskiej. Oblicza się ich liczbę na kilkadziesiąt! Tak jest! Kilkadziesiąt sztuk teatralnych podnosiło sprawę Polski w pierwszej połowie XIX w. Oczywiście nie wszystkie należały do wybitnych. Kilka jednak pod względem popularności stanowiło ówczesną czołówkę literatury dramatycznej. Francuska sztuka Dejare'a, o trochę dziwnym tytule *Lodoiska*, po bogatej karierze paryskiej była wystawiana wielokrotnie od 1794 do 1832 r. w angielskiej przeróbce J. P. Kemble'a (m.in. w Drury Lane). W 1803 r. Jane Porter napisała swą 17-krotnie wznawianą powieść *Thaddeus of Warsaw*. Z utworów poświęconych Polsce, a napisanych nie przez jakichś tam wyrobników pióra, lecz przez najwybitniejszych poetów anglojęzycznych: Thomasa Campbella, Samuela T. Coleridge'a, Johna Keatsa, George'a G. Byrona, Alfreda Tennysona można zestawić niezgorszą antologię. Dlaczego zatem, skoro produkcja filopolska w literaturze europejskiej była tak obfita, i skądinąd jest dobrze w filologii opracowana, Autorzy *Historii Europy* poprzestają na pojedynczym, prawdę mówiąc oklepanym przykładzie *Polenlieder*? Nic o poemacie *Rizpah*, gdzie poprzez metaforę biblijną Algernon Charles Swinburne ukazuje dramatyczny los Polski po Powstaniu Styczniowym. A to nie jest poemacik, jakich w literaturach europejskich wiele. To autentycznie wielkie dzieło literatury angielskiej, w każdym razie na tyle, że stanowi samodzielne hasło w angielskich encyklopediach literackich. Na tym tle nie mam nawet odwagi domagać się, by w *Historii Europy* dostrzeżono odbicie spraw rumuńskich w literaturze francuskiej, włoskich w rosyjskiej... Może coś o kontaktach ukraińskiego wieszczki narodowego Szewczenki szukającego

oparcia u zachodnich artystów (zwłaszcza że potraktowano go byle jak, w morzu problematyki... rosyjskiej)? Nie tylko skrzywdzonej Polsce literatury europejskie poświęcały uwagę.

Davies z kolei zawodzi kompletnie jako znawca wpływów na inne kultury europejskie... cywilizacji brytyjskiej! Wyraźnie nie korzysta z licznych opracowań dotyczących tak istotnych zjawisk i procesów historycznych, jak ekspansja obyczajowości angielskiej, oddziaływanie brytyjskiej literatury, nauki, techniki czy... sportu. Problemów tych oczywiście Davies nie pomija, wiele z nich jakoś tam odnotowuje w powodzi innych zagadnień, z reguły jednak dość powierzchownie. Tak prześlizguje się np. nad problemem emigracji szkockiej, ograniczając się do epizodycznych wzmianek o irlandzkich i szkockich wygnańcach i banitach (s. 678), czy o polskiej tolerancji, dzięki której Rzeczpospolita przyjmowała uchodźców m.in. z Wysp Brytyjskich (s. 544). Wszystko jednak anonimowo, żadnego nazwiska, żadnego konkretniejszego faktu. Było to i to, i na tym koniec. Postawy takiej można oczywiście bronić, twierdząc, że opracowanie ma charakter syntezy, nie zaś drobiazgowej analizy zjawisk. To prawda. Ale dlaczego w innych miejscach Davies uruchamia prawdziwy zalew szczegółów, np. gdy omawia strukturę wsi Grossemeer, gdzie ważna okazuje się nawet liczba wdów, albo gdy blisko 3 strony poświęca przepowiedniom Nostradamusa?

Tymczasem istnieje spora literatura o obecności Szkotów w świecie, w tym w wielu krajach europejskich, której Davies nie wykorzystuje. Hasling Ketling w *Panu Wołodyjowskim* Sienkiewicza jest zaledwie literackim uogólnieniem losów szkockich poza ich ojczyznę, ale i zarazem artystyczną miarą problemu. Stoi też za tą metaforą rzeczywista rola najemnych oddziałów irlandzkich i szkockich w Europie, u nas wcale dobrze opracowana od czasów Wacława Borowego. Królewicz Władysław Waza i Janusz Radziwiłł lubowali się w swych szkockich gwardiach. Losy generała Patricka Gordona w Skandynawii i Rosji stanowią jedną z najciekawszych opowieści o losach szkockiego wojskowego w Europie. Szkoccy prawnicy i uczeni doradzali carom Rosji, stanowili wyraźną grupę w Akademii Zamojskiej. Szkoccy bankierzy i kupcy zajmowali znaczące pozycje w Antwerpii i Brugii, choć to Polskę, a nie Rosję czy Niderlandy Mona McLeod nazwała ostatnio „Ameryką tamtych dni” („Poland had become America of the day”, *Leaving Scotland*, 1996, s. 20). Nie chodzi mi tu o to, by taki czy inny fakt został szczegółowo podniesiony, a każde z powyższych nazwisk wymienione. Ale irytuje, gdy ważne zjawisko czy proces traktuje się ogólnikiem, a z drugiej strony — jak wykazałem wyżej — mniej istotne kwestie wyposażą się w argumentację przesadnie szczegółową.

Bardziej rzeczową próbę objaśnienia procesów migracyjnych, nie tylko szkockich, znajdziemy natomiast w *Historii Europy* (s. 240-241). Lecz i tu wszechobecny jest nadmiar generalizacji przy pomijaniu ściślejszej egzemplifikacji, nazwisk, instytucji. Razi też przypisywanie emigracji niemal wyłącznie uzasadnień ekonomicznych, ograniczanie jej do anonimowych warstw żołnierskich, kupieckich i rzemieślniczych. Tymczasem historia Europy roi się od emigrantów nie mieszczących się w tych stereotypach, jak Jan Amos Komenski, Aleksander Gwagnin, Reinhold Heidenstein. Nie wiemy, czy żądza przygód czy ucieczka przed biedą zmusiła George'a Learmutha do poszukiwania służby na terenie Rosji. Wiemy jednak, że z niego wywodzi się ród Lermontowów, który dał Rosji poetę Michaiła (krewniak George'a, Peter, stawał z nami mężnie przeciw Turkom i był nawet ranny; opisał to Wacław Potocki w *Wojnie chocimskiej*). W Lesznie działał przez kilkadziesiąt lat jeden z najznamienitszych medyków i filozofów szkockich Ian Jonson. Dwaj Forsterowie, obywatele polscy pochodzenia szkockiego, ojciec i syn o tym samym imieniu Ian, brali udział w jednej z wypraw Jamesa Cooke'a. To oni są autorami jednego z głównych pamiętników wyprawy. Forster syn był po powrocie profesorem Uniwersytetu Wileńskiego. Lista stałych i czasowych emigrantów pol-

skich w europejskich dziejach znaczna i znacząca: Krzysztof Arciszewski, Edmund Strzelecki, Józef Conrad Korzeniowski... Prawda, że służyli głównie poza Europą, ale jednak na rzecz swych europejskich mocodawców, których aktywa swymi umiejętnościami pomnażali.

Niestety, większości z tych nazwisk, Komensky'ego (!), Jonsona, Learmuthów, Forsterów, Arciszewskiego i Strzeleckiego, nie znajdziemy w indeksie nazwisk *Historii Europy*. Nazwiska Jonson zdaje się nie znać Davies. Komensky'emu poświęca jedną ze swych „kapsułek” (s. 653-654), ale już Conrada wspomina półgębkiem we wstępie i potem doń nie wraca.

Oba omawiane tu dzieła lekceważą tak ważny czynnik w dziejach cywilizacji europejskiej jak sport. Książka pod red. A. Mączaka ignoruje sport kompletnie, Daviesa — prawie kompletnie. Nie chodzi oczywiście o to, by w dziełach dotyczących historii powszechnej znalazły się ligowe tabele czy wyniki Pucharu Europy w lekkoatletyce. Jeśli jednak Davies zamieszcza spis sławnych leworęcznych Europejczyków i omawia historię pruskiego marszu paradnego, to można postawić pytanie, dlaczego nie zająć się znaczącymi zjawiskami kultury fizycznej? Sport od czasów Starożytności stanowi wyraźny rys europejskiej kultury zbiorowej, pod względem zdrowotności, publicznego widowiska, następstw kulturowych, a także artystycznych. Nie ma literatury europejskiej bez Pindara, sztuki bez Myrona. Listy zwycięzców w igrzyskach stanowią jedno z ciekawszych źródeł do historii starożytnej, a same olimpiady były w tamtych czasach wyznacznikiem chronologicznego rytmu dziejów. Średniowiecze trudno sobie wyobrazić bez gildii mieszczańskich, ich strzelań kurkowych, kultury rycerskiej, turniejów, zasad etycznych, które do dziś określamy rycerskimi. Renesansowe odkrycie ludzkiego ciała po wiekach aseczy nie dokonywało się tylko w dziełach Michała Anioła i Rafaela. Miały tu swój udział, o czym i Davies, i Autorzy *Historii Europy* zapominają, pierwsze nowożytne systemy wychowania fizycznego, szkoły wzorowane na starożytnych gimnazjach, gdzie uczono równolegle filozofii i gimnastyki, jak w sławnej *Casa Gioiosa* Vittorina da Feltre. Rola systemów gimnastycznych w kompensowaniu skutków industrializacji i urbanizacji to inny pominięty fragment europejskiej historii. W żadnej z omawianych tu książek nie pojawiają się tak znaczące w ratowaniu zdegradowanej europejskiej *physis* nazwiska, jak Guts-Muths, Per Ling, Vieth itd. Wreszcie ruchy sportowe i gimnastyczne były ważnymi, choć niedocenianymi bądź kompletnie ignorowanymi przez historię ogólną składnikami ogólniejszych procesów historycznych. W 1618 r. Jakub I wydał edykt zatytułowany *Deklaracja sportów*, w którym nakazywał odbywanie rozrywek i zawodów sportowych po każdej mszy. Edykt ten godził w samo jądro purytańskiego etosu pracy i religii. Duchowieństwo purytańskie odmówiło odczytania go z ambon. Stało się to pierwszym wyraźniejszym zarzewiem konfliktu, który tak dramatycznie zakończył się trzy dziesięciolecia później Wojną Domową, ścięciem Karola I Stuarta i protektoratem Cromwella. Z kolei w Niemczech powstanie ruchu gimnastycznego było organizacyjnym zapleczem rodzącego się tam poczucia narodowego. Nie przez przypadek Friedrich Ludwig Jahn był jednocześnie pionierem i ruchu turnerskiego, i niemieckiego nacjonalizmu. Zbieżność nie jest przypadkowa: prężne ciało miało być biologiczną podstawą, a zarazem narzędziem w realizacji nacjonalistycznych celów. Wreszcie słowiański Ruch Sokoli, z jego ideologią odrodzenia narodowego przez sprawność fizyczną, gotowość organizacyjną do czynu zbrojnego. Tymczasem ani u Daviesa, ani Autorów polskich, jeśli nie przeoczyłem jakiejś mikroskopijnej wzmianki, nie ma nic o Sokole! W indeksach próżno szukać takich nazwisk narodowych twórców idei sokolej, jak w Czechach Miroslav Tyrš, w Polsce Józef Milleret, Jan Dobrzański, w Słowenii Viktor Murnik, w Serbii Steve Todorovic, w Chorwacji Franjo Bucar czy działający w Bułgarii pionier Ruchu Gimnastycznego Francuz Charles Champot.

Ogromną rolę odgrywał sport w procesach emancypacji kobiet. Nie trzeba wyrafinowanej intuicji historycznej, by doszukać się niebywale ważnej roli sportu w faszystowskich i nazistowskich koncepcjach rasowych, realizowanych w sferze ideologicznej, propagandowej i artystycznej: w rzeźbie Ciampolini Italo Rossiego, Arno Brekera, w architekturze rzymskiego Centrum Sportowo-Militarnego (*Foro Mussolini*, dziś *Foro Italico*), stadionu olimpijskiego w Berlinie projektu Wernera Marscha, czy w filmach Leni Riefenstahl. A rola sportu w budowaniu tzw. proletariackiej świadomości klasowej, Czerwone Olimpiady Robotnicze sprzed 1939, ruch spartakiadowy wykorzystujący nazwisko rzymskiego niewolnika i gladiatora Spartakusa jako symbol przeciwstawienia się burżuazyjnemu sportowi, rola współzawodnictwa wyczynowego w okresie „zimnej wojny”, w propagandzie itd. Żadnego z powyższych faktów i zjawisk nie odnotowuje ani *Historia Europy* A. Mączaka, ani *Europa* N. Daviesa.

O ile w Polsce sport jest tradycyjnie ignorowany przez środowiska humanistyczne, w tym historyczne (z wyjątkiem wyraźnie izolowanego środowiska samych historyków sportu), to takie potraktowanie problemu przez Daviesa zaskakuje w najwyższym stopniu. Sport stał się jednym z najbardziej dynamicznych elementów brytyjskiej ekspansji kulturowej, nie tylko pod względem czysto technicznego naśladownictwa angielskiego wioślarstwa, wyścigów konnych, lekkoatletyki czy futbolu, ale także pod względem edukacyjnym, moralnym i obyczajowym.

Co prawda, Davies poświęca trochę miejsca sportowi w swych anegdotycznych „kapsułkach”: jedna z nich dotyczy wyścigu kolarskiego *Tour de France* (co jest potrzebne do ukazania symbolicznego, łączącego Brytanię z Europą przejazdu kolarzy tunelem pod Kanałem Angielskim-La Manche). Inna z „kapsulek” zawiera trochę obserwacji o starożytnych igrzyskach olimpijskich, wspomina ich wskrzeszenie przez Pierre de Coubertina. Davies, ku naszemu zaskoczeniu, pomija brytyjski wkład w rozwój idei olimpizmu: nie ma w jego „kapsułce” nic o Igrzyskach Olimpijskich zainicjowanych przez Roberta Doversa i rozgrywanych w Chipping Campden od ok. 1612 do 1852. Program tych igrzysk, dobrze znanych w historiografii brytyjskiej, choć nie funkcjonujących szerzej w świadomości europejskiej, obejmował nie tylko konkurencje sportowe, ale i wydarzenia artystyczne: Dover doceniał m.in. tradycje Pindara i zapraszał do opiewania swej imprezy najwybitniejszych poetów, jak Ben Jonson, Michael Drayton, łącznie ponad trzydziestu wierszopisów. Ich ody olimpijskie ukazały się w 1636 r. w zbiorze pod łacińskim tytułem *Annalia Dubrensia*. Davies pomija też pierwsze na świecie stowarzyszenie olimpijskie w Much Wenlock (*Olympian Society*, 1849) i jego założyciela Williama Penny Brooksa, z którego doświadczeń korzystał Coubertin. W jednej ze swych „kapsulek” Autor *Europy* poświęca sporo miejsca wyhodowaniu nowej rasy psów sportowych przez pastora Russella, wspomina zdawkowo o igrzyskach szkockich górali, biegach z bykami w Pampelunie i wyścigach konnych *palio* w Sienie. Są to miłe w lekturze ciekawostki, ale jakże dalekie co do znaczenia od wymienionych powyżej faktów, nieporównanie ważniejszych, a skądinąd niemniej barwnych i ciekawych. Pominięty został nade wszystko obyczajowy i moralny wkład brytyjskiego sportu do kultury europejskiej... Ideał moralny *fir fer*, wywodzący się z kultury celtyckiej, został za sprawą swej angielskiej kalki językowej — *fair play* — przytoczonej przez Szekspira w *Królu Janie* upowszechniony jako jeden z najbardziej znaczących elementów europejskiej etyki, nie tylko przeciw sportu (nie szukajmy tego urywka w 4 dotychczasowych polskich tłumaczeniach *Króla Jana*; wszystkie partaczą fragment dotyczący *fair play*). Być może posądzony zostanie o tendencyjne zestawianie faktów, ale sensacyjna wiadomość, że „Marylebone Cricket Club otworzył swój pierwszy sezon” (Davies, s. 803), jest chyba mniej ważna dla kultury europejskiej niż odkrycie przez Brytyjczyków istoty nowoczesnego alpinizmu, czy, w sensie negatywnym, ale jakże istotnym, triumfalny pochód angielskiego

futbolu z jego chuligańskimi konsekwencjami... Sam tylko szok spowodowany wydarzeniami na stadionie Heysel, dla którego ani Davies, ani Autorzy *Historii Europy* w swych książkach miejsca nie znajdują, miał chyba dramatyczniejszą wymowę niż losy operetki buffo albo historia gestu... „grania na nosie”, które są u Daviesa dość dokładnie odnotowane.

Skalę oddziaływania tragedii Heysel, nie na opinię sportową, ale na szerszą świadomość kulturową, chyba najlepiej oddał Don Masterson, zresztą rodak Daviesa, były reprezentant Walii w rugby, a dziś emerytowany profesor estetyki Uniwersytetu w Salford. Napisał wówczas wiersz adresowany do piłkarskiego plebsu, niszczącego moralne przesłanie sportu i cywilizacyjną tradycję Wielkiej Brytanii. Ironicznie zestawiał boisko piłkarskie ze sławnym „zakątkiem pola” we Flandrii, na którym walcząc o wolność Europy zginął w 1915 r. „poeta czasu wojny” Rupert Chawner Brooke:

„Eskpedycja sił strachu...
 Spadkobiercy przodków, którzy w latach zaprzyszłych,
 Opuszczali nasze wybrzeże by walczyć za wolność,
 Teraz płyną przez morze w uciesznym amoku
 Pozostawiają ślad goryczy za kilem swego promu,
 Juventus będzie biorcą ich budzącej odrazę wściekłości
 I sprężynowcem spróbują podbić
 Ów zakątek obcego, piłkarskiego pola ...
 [...]

Ławy trybun nie dają szans ukrycia,
 Na pędzonych strachem zapada wieczorny zmierzch
 Miażdżący kości, bijący łańcuchem, wałący nożem.
 W dole urwisko trybun, kłębowisko ciał.
 Na skraju falujący tłum broniący się przed upadkiem,
 Czyż to wszystko nie godne reputacji
 Obywateli dumnego, kochającego sport narodu?

Potomkowie bohaterów, którzy byli tarczą
 Dla swych braci padających na polach Flandrii,
 W imię sportu zmieniają bieg epoki,
 Piłkarską zbrodnią chcą zastąpić wojnę,
 I powiadają ci Hunnowie, że są wszechmistrzami świata,
 Ze nasze stare wzorce warte są śmiechu, a my półgłówkami”.
 [tłum. W. L.]

Nie powinno się doprawdy pomijać tego wydarzenia w historii naszej cywilizacji.

„Kapsułki” Daviesa jako antologia anegdot są skądinąd fascynujące, wręcz olśniewają jako panopticon europejskich dziwactw, trudnych do wytłumaczenia aberracji i zwykłych ciekawostek, czy to chodzi o systemy tortur, pojawienie się syfilisu, czy dzieje kosmetyku *Chanel 5*... Ale „kapsułki” te, niestety, w swym nadmiarze rozbijają ciąg historycznej narracji i w wyraźnie przesadzonej liczbie, godnej odrębnej publikacji, zakłócają po prostu rzeczywistość hierarchią i znaczeniem faktów. Ich dobór w książce nasuwa mi skojarzenie z „poetyką telewizyjną”, gdzie informacja polityczna miesza się z reportażem kryminalnym, a kaczor Donald poprzedza film Felliniego... Na podobnej zasadzie u Daviesa państwowotwórcze dokonania Włodzimierza Ruskiego mieszają się z oświadczeniami bliżej nieznanego Nikity, plemniki Augusta Mocnego

buszują w dziejach Europy omal na równych prawach z wodzami wojny siedmioletniej. Trudno mi przesądzać, czy dzieło Daviesa jest świadomym czy nieświadomym naśladownictwem takiej telewizyjnej poetyki tworzącej już — zdaniem socjologów amerykańskich — naszą współczesną „świadomość koktajlową” — „coctail mind”. Być może to znak czasu i tak właśnie należy pisać historię dla mieszkańców MacLuhanowskiej „globalnej wioski”, by skutecznie konkurować z eposem Rambo czy Batmana. Mamy już przecież śpiewających o historii Polski i Europy raperów: „Kanut postać dobrze znana, rzucił Anglię na kolana”, „Ej Batory, ej Batory, wkład w historię miałeś spory....”

Gdy Davies swym błyskotliwym stylem skłania się do daleko idących koncesji wobec Czytelnika, Autorzy *Historii Europy* wykazują skłonność do dziejów odpersonalizowanych, wyraźnie przeekonomizowanych. Są to wyraźne echa długotrwałego w naszej historiografii preferowania gospodarki, polityki czy elementów jurydycznych, co sprowadzało wykład do jakiegoś bezpodmiotowego „mechanizmu historii”. Rozdział *Europa nowoczesna: przewrót przemysłowy i ewolucja kapitalizmu* jest tu nader charakterystyczny: pełno w nim „wewnętrznych czynników prowadzących do strukturalnych przeobrażeń gospodarki”, „spadków produkcji”, „procesów akumulacji kapitału” i „przeobrażeń społeczno-ekonomicznych”. Tylko raz na parę stron pojawiają się w tym rozdziale jacykolwiek ludzie twórcy historii. Od czasu do czasu jest to kompensowane „hurtowymi” listami nazwisk, np. wielkich wynalazców (s. 511). Rzecz w tym, że te postaci nie są ujęte w żywy tok historycznej narracji, są usytuowane w jakiejś ekonomicznej abstrakcji, na zasadzie „doklejenia” *post factum*. W odniesieniu do rolnictwa nie ma nawet takiej „doklejonej” listy. Nie ma Alberta Thaera z Moeglin, pioniera rewolucji agrarnej i twórcy płodozmianu Thomasa Coke'a, czy jego praktykanta Dezyderygo Chłapowskiego. Przez pozbawione ludzi stronicę toczą się niczym walec dzieje gospodarcze, zmieniają się systemy upraw rolnych, wkracza kapitalizm, nowe typy maszyn, zmieniają się typy pracy nakładczej, ukazane są statystyki i procenty. Wydawało się, że taka odpersonalizowana historia skompromitowała się wystarczająco w ciągu ostatniego półwiecza. Tymczasem całe rozdziały książki pod red. A. Mączaka uporczywie hołdują tej nieznośnej manierze. Dodajmy, że i z punktu widzenia sztuki narracyjnej wykład jest nierówny, gdyż poszczególne rozdziały, pisane przez różnych autorów, cechują się dużą rozbieżnością stylu, od płynnego i ciekawego, po monotony i ciężki w lekturze jak jazda wozem w piasku po osie. Czytając dzieło pod red. A. Mączaka, na przestrzeniach wielu stron, a nawet rozdziałów, można zapomnieć, że istnieje w Polsce wielka tradycja stylistyczna Szajnochy, Smolki, Handelsmana, Brucknera czy Tazbira.

Historia Europy jest za to bez wątpienia metodyczniejsza niż *Europa* Daviesa. Przechodzi wzorcowo, choć może nazbyt sztywno od epoki do epoki i od zagadnienia do zagadnienia. Brak tu jakichkolwiek ekstrawagancji, ale też prawie nie istnieje anegdota, podobnie jak urealnijający opisywaną rzeczywistość źródłowy cytat. To znaczy jest tego jakaś szczypta, ale nie ona stanowi o poetyce książki. U Daviesa cytat i anegdota, pomijając wymienione wyżej, „kapsułkowe” przegięcia, pełnią wielorakie funkcje: zaświadczać autentyczność faktu, humanizują martwą, historyczną materię. Z kolei Autorzy *Historii Europy* traktują cytat nie tylko oszczędnie, ale i jednostronnie: jeśli już ilustrują nim jakąś ideę, to raczej, by wzmocnić tok swego myślenia, logikę procesu historycznego, niż przydać barwy epoce czy analizowanemu wydarzeniu. Dobrze byłoby jednak łączyć jedno z drugim. Poza tym Autorzy nie wyjaśniają, skąd swe przytoczenia biorą. Nie jestem specjalistą w zakresie literatury czeskiej i chciałbym wiedzieć, gdzie Milan Kundera, cytowany w *Historii Europy* (s. 236), wyraził pierwotnie swój pogląd o zastąpieniu religii przez kulturę w tworzeniu się tożsamości europejskiej. Podobnie

jak — skąd pochodzi opinia Christiana Wolfa o majestacie królewskim (s. 268). Czy nie można by po prostu dodać stosownej informacji w nawiasie lub nawet w tekście bieżącym? Autorzy stają się tu ofiarą własnej koncepcji dzieła bez przypisów i bibliografii.

Choć Davies jest nieporównanie solidniejszy w dokumentowaniu źródeł, z jakich czerpie, to oddzielnej bibliografii również nam oszczędził. Po każdym cytacie podaje jednak, skąd go zaczerpnął. Natomiast indeksy dołączone do jego *Europy* są podobnie niewystarczające jak u Autorów *Historii Europy*. Oba dzieła poprzestają na dwu indeksach: osobowym i nazw geograficznych. Ktoś, kto chciałby odszukać fragmenty poświęcone ideom czy wydarzeniom, zlokalizować ustępy o inkwizycji, romantyzmie, o roli nacjonalizmu czy przebiegu Powstania Styczniowego, będzie musiał salwować się żmudnym kartkowaniem rozdziałów „podejrzanych” o ujmowanie tych zagadnień. Jeden indeks całościowy zamiast dwu cząstkowych byłby tu rozwiązaniem lepszym, jeśli dana książka ma odegrać rolę przewodnika po europejskich dziejach, a nie tylko po ich geografii i kwestiach osobowych.

To, czego brakuje w obu omawianych tu dziełach, to minimalnego choćby wyboru dokumentów i źródeł. Obszerność tak *Historii Europy*, jak i *Europy* wyklucza raczej takie uzupełnienie w obrębie dzieł już istniejących: straciłyby swoją poręczność, i tak już podważoną rozmiarami. U Daviesa problem częściowo rozwiązują obszerne cytaty i „kapsułki”, natomiast u A. Mączaka, biorąc pod uwagę dopiero co wspomnianą skąpość cytatów, brak ten jest nieporównanie dotkliwszy. Być może zatem kwestię źródeł należałoby rozwiązać oddzielnie wydaną antologią typu *Dzieje Europy w dokumencie*.

Tu i ówdzie pokazały się recenzje wytykające potknięcia przekładu *Europy* dokonanego przez Elżbietę Tabakowską. Usterki zdarzają się oczywiście w każdym tłumaczeniu, ale jak na skalę dzieła liczącego blisko półtora tysiąca stron jest ich zdumiewająco mało. Można oczywiście dyskutować, czy słowem „agent”, mającym konotacje nowożytnie, można określać moskiewskich siepaczy urządzających kaźnię kupcom średniowiecznego Nowogrodu. To są jednak szczegóły do wyczyszczenia w przyszłych wydaniach. Każdy, kto czytał dzieła N. Daviesa w oryginale, wie, iż operuje on językiem angielskim o dużej skali ekspresji, często trudnej do oddania po polsku. Na tym tle, z punktu widzenia czysto anglistycznego, tłumaczenie E. Tabakowskiej należy uznać za mistrzowskie! Podziwiać również należy tempo dokonania przekładu. To dzięki szybkiej pracy tłumaczki mamy jedno z czołowych dzieł historiografii światowej prędzej niż w wielu innych krajach, uważających się za międzynarodową czołówkę wydawniczą. Zatem choć sam tu i ówdzie poprawiłbym jakieś sformułowanie, to nie ośmieliłbym się ferować nazbyt krytycznych wyroków. Jeśli już, to pod adresem pochopnych krytyków.

Europa Daviesa liczy 1406 s., a *Historia Europy* Mączaka „tylko” — 854. Cechują się też wysoką ceną, przynajmniej jak na możliwości polskiego inteligenta, głównego adresata obu książek. Dla nauczyciela, studenta czy naukowca, wydatek odpowiednio ok. 70-80 i 90-100 zł, zależnie od księgarni, to cena wygórowana. Sam kupiłem obie książki po długich przemyśleniach i widziałem wielu przeglądających i odkładających je na półkę z charakterystycznym westchnieniem. Dziwi jednak, dlaczego omal dwa razy obszerniejsza, nie dotowana książka Daviesa, gdzie doszły koszty tłumaczenia i copyright, jest zależnie od księgarni tylko ok. 20-25 proc. droższa niż *Historia Europy* dotowana przez dwie instytucje (MEN i KBN). Albo w Znaku znają się lepiej na kalkulacji kosztów, albo w Ossolineum ktoś wyraźnie... przesolił. Dotowane a porównywalne pod względem objętości i szaty ilustracyjnej książki PWN (np. z serii *Literatura Polska: Średniowiecze czy Romantyzm*) są jednak o 15-25 zł tańsze. Cena *Historii Europy* nie do końca jest usprawiedliwiona kolorowymi mapkami, niestety, nie uwzględniającymi ostatniego półwiecza (najnowsza ukazuje podział Europy tuż po zakończe-

niu II wojny światowej). U Daviesa mapki są czarno-białe, za to dościągnięte do przemian po 1989 r.

Oba dzieła, mimo omówionych wyżej ułomności, już stanowią i zapewne długo będą stanowić podstawowy zasób wiedzy, z którego będziemy czerpać informacje o dziejach Starego Kontynentu. Z pewnością zyskają status podręczników na tak już licznych kierunkach studiów europeistycznych. Choć nie sądzę, by szybko doczekały się skutecznej konkurencji, to właśnie dzięki nim kolejne historie cywilizacji europejskiej będą u nas miały znacznie ułatwiony punkt wyjścia. Po przejściu tych dwu pługów, choć orzą czasem krzywo, dotychczasowy ugór przestał jednak istnieć i można będzie się zabrać za bardziej zaawansowaną uprawę.